

A woman with dark hair and bangs stands in the center, wearing a black long-sleeved crop top and blue jeans. She is looking directly at the viewer. The background is a dark, rainy, post-apocalyptic cityscape with smoke rising from the ground and a crane visible in the distance. The title is written in large, white, distressed letters across the lower half of the image.

SPALIĆ WIEDZMĘ

Magdalena Kubasiewicz

Magdalena Kubasiewicz

Spalić wiedźmę



Spalić wiedzmę

Copyright © Magdalena Kubasiewicz

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Anna Faraś-Pągowska

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2015 r.

druk ISBN 978-83-7995-030-0

epub ISBN 978-83-7995-031-7

mobi ISBN: 978-83-7995-032-4

Redakcja: Dawid Wiktorski

Korekta: dr Marta Kładź-Kocot

Ilustracja na okładce: Anna Faraś-Pągowska

Projekt i skład okładki: Paweł Dobkowski

Skład i typografia: [Studio Grafpa](#)

Redaktor serii: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Podmiejska 13 box 27

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka dostępna w księgarni: www.MadBooks.pl

i www.eBook.MadBooks.pl

Spis treści

PROLOG

Spalona bogini. 7

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wiele Pieśni 49

ROZDZIAŁ DRUGI

Gdy zaśpiewa noc 77

ROZDZIAŁ TRZECI

Wytnij serce brata 105

ROZDZIAŁ CZWARTY

Bez światła gwiazd 141

ROZDZIAŁ PIĄTY

Moc potężniejsza niż moja 171

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Złudny blask księżyca 201

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Piosenka szczurołapa. 251

EPILOG

Zawsze jest czarownica. 271

Prolog

Spalona bogini

Zaczęło się zupełnie zwyczajnie: od morderstwa.

Ciało wyłowiono z rzeki wczesnym rankiem, w niewielkiej miejscowości w pobliżu stolicy Polanii, Krakowa. Ofiara musiała zginąć jakiś czas temu, bo ciało zaczęło się rozkładać, wciąż nosiło jednak ślady rozległych oparzeń. Tym samym wykluczono możliwość samobójstwa, podobnie jak nieszczęśliwego wypadku, choć taką wersję okoliczne władze najchętniej uznałyby za prawdziwą. I może tak w końcu opis tego przypadku widniałby w oficjalnych dokumentach, ciało zaś pogrzebano by w bezimiennym grobie, bo spalonej twarzy nie dało się rozpoznać.

Jakimś sposobem nie spłonęła jednak część włosów dziewczyny, długich i tak jasnych, że niemalże białych. Dzięki nim ustalono ponad wszelką wątpliwość, że topielica to zaginiona przed kilkoma dniami siostra Tomasza Niepołomica, królewskiego powinowatego, majątnego pana, wpływowego i słynącego ze swej mściwości. Powszechnie wiadomo było, że pan Tomasz sio-

stry nie miłował zbyt gorąco, w towarzystwie nazywając ją latawicą, zaś prywatnie bardziej dosadnie – kurwą. Niemniej nosiła ona rodowe nazwisko (choć co do krwi ojcowskiej w jej żyłach pan Tomasz żywił poważne wątpliwości), zatem jej śmierć winna być pomszczona. Jednakże jedyny przedstawiciel prawa w miasteczku zajmował się głównie bójkami w zajeździe, toteż wiele zdziałać nie mógł i sprawa została przekazana w bardziej kompetentne ręce, by w końcu trafić na dwór.

– Znalezione ciało – burczał z kwaśną miną jego królewska mość Julian Łukomski. – W wodzie. Wcześniej podpalone. Tomasz się wścieka.

– Tomasz wścieka się regularnie co piątek. Czasem również w środy. Nieważne, czy ma ku temu powody, czy nie.

Julian zaklął w sposób zupełnie nieprzystający władcy. Na rozmówczyni nie zrobiło to wrażenia, bowiem król kląć nauczył się od niej. Stała przy oknie, zwrócona do komnaty plecami. Patrząc na nią od tyłu, trudno byłoby orzec, czy jest dziewczyną, czy chłopcem. Miała ciemne, krótko ścięte, rozwichrzone włosy, a kraciasta, luźna koszula skutecznie maskowała figurę. Poszarpane spodnie i ciężkie buty również trudno było nazwać kobiecymi.

– Kaśka – kontynuował Julian, ignorując dziewczynę – zmarła przed sześcioma dniami. Wedle medyków utonęła, choć wcześniej coś poparzyło jej twarz i klatkę piersiową. Ponoć pojechała do Czarnego Jaru, jednak tamtejsi ludzie twierdzą, że jej nie widzieli. Czy ty mnie w ogóle słuchasz, Sanika?

– Nudzę się – westchnęła Sara Weronika Sokolska, odwracając się do króla i opierając dłonie na biodrach. Twarz miała szczupłą, wychudzoną i bardzo bladą, wręcz dziecinną. Do fioletowych oczu wpadały kosmyki zbyt długiej grzywki. – Umieram z nudów, a ty mi opowiadasz o Niepołomicównie. Nie lubiłam jej. Nie pojechałam przez tę sprawę na sabat. Myślałam, że chodzi o coś ciekawszego.

Julian zazgrzytał zębami ze złości i zrezygnowany opadł na obite materiałem krzesło, bezcenny zabytek. Ze schludnie zaczesanymi, ciemnobrązowymi włosami, w jedwabnej koszuli, czarnych spodniach i skórzanych, włoskich butach, z drogim zegarkiem na ręku, wyglądał dokładnie na tego, kim był: na typowego arystokratę. Kogoś, kto nie bywa nawet w tych samych miejscach, co Sara. Nie mówiąc już o tym, by pozwalał komuś jej podobnemu zwracać się do siebie w tak poufały sposób.

Ale pozwalał. Po pierwsze, znał ją od lat. Po drugie, jako nadworna czarownica cieszyła się pewnymi przywilejami. Nawet jeśli wśród adeptów sztuk magicznych uchodziła za czarownicę niewydarzoną i plamę na honorze bractwa adeptów magicznej ścieżki.

– Znajdź mordercę, Sanika – zażądał król, nie zważając na utyskiwania Sary Weroniki Sokolskiej, Pierwszej Czarownicy Polanii. – Poza tym sądziłem, że nie lubisz sabatów. Koleżanki i koledzy po fachu cię nie nawidzą.

Sara uśmiechnęła się chytrze. Julian bardzo nie lubił uśmiechów Sary, które rzadko kiedy zwiastowały coś dobrego.

– Oczywiście, że mnie nienawidzą. Myślisz, że dla czego chciałam jechać? Żeby działać im na nerwy! Od pięciu lat czekam, aż Joannę na mój widok trafi wreszcie szlag. Poza tym miało być przyjęcie.

Zaczęła krążyć po komnacie. Nie pasowała do pomieszczenia, do modrzewiowego stropu, do renesansowych fresków, starych obrazów i antyków. Dżinsy miała porwane na kolanach. Rękaw koszuli w czarno-białą kratę czymś utytłała, prawdopodobnie czekoladą. Sznurówka prawego głana ciągnęła się za nią po podłodze i Julian czekał tylko, aż Sara się potknie.

– Tomasz domaga się głów. Dokładnie tak to ujął: daj mi głowę mordercy na srebrnej tacy. Nie mogę i nie chcę mieć w nim wroga.

– Przywróć karę śmierci poprzez ścięcie – zaproponowała Sara beztrąsko. – Albo, jeśli już upieramy się przy humanitaryzmie i prawie do godności nawet największych zwyrodnialców, najpierw otruj delikwenta, a potem utnij mu łeb. Poślij Tomaszowi na tacy, skoro ma ochotę na jakąś głowę. Doceni gest.

Większość poddanych Juliana zadrżałaby na widok gniewnego spojrzenia brązowych oczu władcy. Sara pokazała mu jednak język i wróciła na swoje miejsce przy oknie. Król głośno westchnął. Czasem trudno było mu uwierzyć, że czarownica jest starsza od niego. Gdyby miał oceniać wiek Sary po zachowaniu, uznałby ją raczej za zbuntowaną nastolatkę. Wnioskując z wyglądu, mogła uchodzić za dwudziestolatkę. Ale wedle jego rachunków jakiś czas temu przekroczyła trzydziestkę.

– Twierdzisz, że się nudzisz, więc zajmij się tym.
– Nakazał, czując, że powoli traci cierpliwość. – Nie mogę nie podjąć żadnych działań. A Kaśka...

– Tak, tak, była twoją nałożnicą – parsknęła Sara lekceważąco. – Zresztą nie tylko twoją. Przewinęła się przez połowę łóżek w tym zamku. To zajęcie dla policji, nie dla mnie!

Julian milczał. Cisza trwała tak długo, aż w końcu stała się niemal namacalna. Sara wepchnęła ręce w kieszenie, spuściła głowę i westchnęła równie ciężko, jak wcześniej król.

– Stracę sabatowe przyjęcie. Chcę kolacji. I tortu czekoladowego na deser. W tym Czarnym Jarze na pewno nie będzie tortów czekoladowych. Każ naszykować mi koszyk.

– Koszyk? – zdumiał się Julian. – Na co ci koszyk?

Czcigodna Sara Weronika, Pierwsza Czarownica Polanii, spojrzała na swego króla z politowaniem. Potrząsnęła głową, a ciemne kosmyki na moment przysłoniły jej fioletowe oczy.

– Myślałeś, że głowę dla Tomasza przyniosę ci w rękach?

Jego wysokość Julian Stanisław Łukomski, władca Polanii, chrząknął zakłopotany i uciekł wzrokiem w bok. Wolał nie zastanawiać się, czy jego podwładna mówiła poważnie.

* * *

Wbrew temu, w co chcieliby wierzyć osobnicy bardziej zacofani, miotła nie stanowiła nieodłącznego

atrybutu czarownicy. Była niepraktyczna, niewygodna, a w marcu, gdy czapy śniegu wciąż zalegały na chodnikach, a z nieba padał deszcz ze śniegiem, jedynie ktoś kompletnie obłąkany wybrałby ją jako środek transportu. Sara, choć niewielu dałoby temu wiarę, nie zaliczała się do grona kompletnie obłąkanych. Od podróży na patyku w temperaturze bliskiej zeru wołała klimatyzowane, służbowe auto. Z tego, podobnie jak z innych przywilejów wiążących się z intratnym stanowiskiem, Sara zwykła korzystać bez skrupółów.

Mokra breja chlapała na szyby przez większą część niemal trzygodzinnej podróży, dlatego wiedźma w końcu potraktowała wycieraczki zaklęciem, bo nie nadążały z usuwaniem nadmiaru wody. Sarze nie było śpieszno ani do miasteczka, w którym odnaleziono ciało Katarzyny Niepołomic, ani do zapadłej dziury, gdzie ofiara miała zamiar spędzić weekend na łonie natury. Czarownicy nie interesowało, kto zabił Kaśkę. Gdyby chciała tworzyć listę podejrzanych, od razu mogłaby zapisać na niej kilkadziesiąt nazwisk. Porzuceni partnerzy, kochankowie, którzy dowiadywali się, że byli jednymi z wielu, zdradzane żony i narzeczone. Sprawdzanie ich wszystkich było jednak zadaniem policji. W ogóle cała ta sprawa powinna była zostać w ich rękach, a ostatecznie, z uwagi na koligacje rodzinne Kaśki, jednostki specjalnej. Rozwiązywanie zagadek kryminalnych nie stanowiło odpowiedniego zadania dla czarownicy.

– W wyniku tajnego, demokratycznego głosowania, wyłoniono dziś nowego przewodniczącego Kon-

wentu Magicznego. – Z radia popłynął głos spike-ra. – Poprzednia przewodnicząca, Jennifer Talbott z Wielkiej Brytanii, zmarła przed dwoma miesiącami w wyniku wyczerpania magicznego, spowodowanego tym, że wcześniej przez trzy godziny utrzymywała na powierzchni morza tonący okręt Czarna Orchidea, na pokładzie którego znajdowało się ponad pięćset osób. Wybór członków konwentu padł na Giuseppe di Lello ze Zjednoczonego Królestwa Włoch. To zaskoczenie dla wielu, ponieważ dotąd jako najbardziej prawdopodobnego kandydata na to stanowisko wskazywano Uwe Holza z Republiki Federacyjnej Niemiec.

Zawsze byłaś idiotką, Jen – pomyślała Sara ponuro. Kolejne informacje, tym razem dotyczące oficjalnej wypowiedzi księcia Nikolasa z Anveburgu, dementującego plotki o przystąpieniu jego kraju do Stowarzyszenia Europejskiego, puściła mimo uszu. Wspominała Jennifer, szczupłą, delikatną kobietę o poważnych oczach. Sara nigdy nie pomyślałaby, że jedna z najpotężniejszych europejskich czarodziejek poświęci swoje życie w taki sposób. Głupio i niepotrzebnie. Mogła stamtąd uciec, teleportować się, a nawet zabrać ze sobą część pasażerów. Albo ściągnąć innych magów na pomoc. Statek nie zatonałby przecież od razu.

– Pora na wiadomości krajowe. Dziś w Poznaniu odbył się pogrzeb Katarzyny Kamili Niepołomic, siostry Tomasza Niepołomica, pośła i właściciela słynnego Białego Pałacu. Okoliczności śmierci Katarzyny nadal nie są znane. Osierociła sześciolletnią córkę...

Zirytowana Sara zaczęła zmieniać stację, póki nie trafiła na muzykę w miejsce wiadomości i reklam nowych modeli latających dywanów. Wnętrze samochodu wypełniły rockowe brzmienia. Nie wiedziała, że Katarzyna urodziła dziecko. Kaśka, Piękna Kaśka, słynąca z długich, bardzo jasnych włosów, modrych oczu i niezwykłego głosu. Sara zawsze podejrzewała, że panna Niepołomicówna musiała mieć jakąś domieszkę syreniej krwi. W końcu przez wieki niejeden raz zdarzało się, że jakaś syrena znalazła sposób, by zyskać nogi i rozpocząć życie na lądzie, zwykle kierowana tym paskudnym, niszczącym uczuciem: miłością. Zazwyczaj szybko umierały z dala od morza, lecz niektóre z nich z pewnością zdążyły wydać na świat potomstwo.

Na drodze przybywało dziur, asfalt znikł kilkanaście kilometrów wcześniej, a samochód podskakiwał na nierównej nawierzchni. Zza zasłony deszczu wyłaniały się pierwsze zabudowania, głównie drewniane, niewielkie domki. Gdyby nie anteny satelitarne, zdobiące dachy niektórych z nich, można by niemal uwierzyć, że cały Czarny Jar zatrzymał się w innej epoce. Trudno było wyobrazić sobie Kaśkę w tym otoczeniu. Sara jednak łatwo odkryła możliwy powód przyjazdu nieboszczki do tego miejsca: upojny weekend na łonie natury, w ramionach kolejnego kochanka, najprawdopodobniej żonatego i wysoko postawionego. Policja zapewne próbowała ustalić, z kim ofiara miała się tutaj spotkać. Na razie bezskutecznie, inaczej Julian podzieliłby się z Sarą tą informacją.

Czarownica zaparkowała na skraju wsi, w pobliżu rzeki. Nie chciało się jej opuszczać ciepłego wnętrza pojazdu i minęło trochę czasu, nim narzuciła na siebie powycieraną, skórzaną kurtkę i ruszyła nad brzeg Vistuli, często zwanej też Wisłą. Stanęła tak blisko rzeki, że taflę wody od podeszwy wojskowych butów dzieliły zaledwie centymetry. Rozłożyła ramiona, przywołując moc, a potem ruszyła wzdłuż brzegu, nasłuchując sygnałów z zewnątrz. Śmierć, zwłaszcza tragiczna, wiążąca się z bólem i strachem, pozostawiała po sobie wyraźne echo. Istniała szansa, że Katarzyna umarła w pobliżu Czarnego Jaru i być może jeszcze uda wy-czuć się ślady tej chwili.

Sara szła powoli, nogi grzęzły jej w błocie. W głowie miała jedno słowo: bezsens.

Kaśka mogła dotrzeć do Czarnego Jaru, lecz nie musiała. Równie przekonująca była teoria, że zabójca wrzucił ją do wody dużo dalej. Szukanie informacji w ten sposób było pracochłonne i dawało raczej marne efekty. Jednak inne możliwości wyglądały równie źle. Przepytywanie mieszkańców mogło przynieść rezultaty, ale Kaśka raczej się nie afiszowała ze swoją obecnością tutaj. Równie mało obiecujące wydawało się szukanie mężczyzny, z którym miała spędzić weekend – bo z jakimś spędzała go na pewno. Sęk w tym, że na liście podejrzanych mógł znaleźć się każdy osobnik płci męskiej pomiędzy osiemnastym a osiemdziesiątym rokiem życia, pochodzący z dowolnego miejsca, w którym Kaśka przebywała w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Włosy lepiły się czarownicy do policzków i karku, a spodnie przemokły. Nie była pewna, jaką odległość przeszła, a gdy zerknęła na zegarek, zorientowała się, że minęło już ponad pół godziny. Siły ulatywały z niej wolno, ale nieubłagane, nogi zaczynały mięknąć, wzrok mętniał.

Już miała przerwać poszukiwania, gdy nagle coś wyczuła. Gwałtownie uniosła głowę i przyspieszyła kroku. Ze zdumieniem odkryła, że trop nie prowadzi ku rzece, ale do lasu.

– I wszystko jasne – mruknęła, gdy przedarła się przez gęsto rosnące krzaki i dotarła do mniejszej rzeki, ale bardziej rwącej niż Vistula. Najwyraźniej dawno temu przerzucono przez nią most, ale teraz jedna z poręczy odpadła, a deski były spróchniałe i połamane. Sara upewniła się, że utrzymają jej ciężar, po czym stanęła na środku. Wtedy też stwierdziła, że poręcz wcale nie odpadła ze starości, lecz została ułamana.

Usiadła po turecku na wilgotnych deskach. Po między nimi ziały szpary dość duże, by włożyć w nie palce, co pozwalało jej patrzeć na wartko płynącą wodę. Czy ta rzeka zdołałaby ponieść ze sobą ciało, zabrać je aż do Vistuli? Rozważała przez chwilę tę myśl, dochodząc do wniosku, że to mało prawdopodobne, ale możliwe.

Zamknęła oczy i uspokoiła oddech. Bodźce, odbierane przez podstawowe zmysły, stawały się coraz bardziej przytłumione, aż w końcu nie czuła już nawet kropli deszczu na twarzy, nie docierał do niej zapach lasu, nie słyszała szumu rzeki. W tym stanie sięgnę-

ła ku mrocznej emanacji otaczającej most, takiej, jaką mogła pozostawić jedynie okrutna śmierć.

Odczuła strach, niemal paraliżujący, ale wciąż pozostawiający miejsce na inne myśli, niepewność, może nadzieję. A później zwierzęce przerażenie i wszechogarniający lęk, przysłaniający wszystko inne. Wreszcie eksplozję bólu, rozprzestrzeniającego się na całe ciało. I ciemność.

Sara przetoczyła się na bok, wystawiła głowę poza krawędź mostu i zwymiotowała wprost do spienionej wody. Z nosa ciekła jej krew. Poświęciła za dużo energii na poszukiwania i dokładne zbadanie reszty emocji, a samo otarcie się o takie odczucia nie należało do przyjemnych. Zaklęła siarczyście, przewróciła się na plecy i leżała tak przez chwilę, patrząc na zachmurzone niebo. Nie była pewna, jak długo pozostawała odcięta od ciała, ale w tym czasie przestało padać. Wiał za to porywisty, zimny wiatr, szarpiąc nagie gałęzie drzew i przenikając przemoczoną czarownicę do szpiku kości. Wstała bardzo powoli, chwytając się ocalałej barierki, lecz i tak nieomal upadła. Dłoń odruchowo powędrowała do brzucha, z którego w wizji rozchodził się ból. Gwałtowny, roznoszący się po całym ciele, a więc nie od uderzenia ani ciosu nożem, lecz od zaklęcia bądź ognia.

Zadrżała, choć tym razem nie z zimna. Przyszedł jej na myśl jasnożłoty płomień, żar, duszący dym. Potem już tylko ból i smród palonego ciała. Nie mogła zobaczyć tego w wizji, lecz z własnego doświadczenia wiedziała, jak wygląda taka śmierć – i po raz pierw-

szy pożałowała Kaśki. Tylko czy na moście na pewno umarła Katarzyna Niepołomic? Sara czytała raport z sekcji zwłok. Poparzeniu uległo pięćdziesiąt procent ciała, przede wszystkim klatka piersiowa i twarz, nie brzuch. Śmierć, która nastąpiła tutaj, była raczej szybka, z powodu ognia bądź zaklęcia, nie utopienia – a w płucach Kaśki znaleziono wodę. Ona wpadła do rzeki, nim ogień zdążył się rozprzestrzenić. Tymczasem wspomnienie wskazywało na śmierć przez spalenie.

To oznaczało, że zginął tu ktoś jeszcze. W podobny, ale nie identyczny sposób.

– Tort czekoladowy nie był tego wart – wymamrotała sennie Sara, podpierając się o barierkę, by spojrzeć na rwący nurt.

* * *

Zajęła pusty dom na skraju Czarnej Jaru. Poprzedni właściciele pewnie umarli już jakiś czas temu, a spadkobiercy najwyraźniej nie byli zainteresowani schedą. Zanim przyniosła do budynku swój niewielki bagaż, skrupulatnie przeszukała domostwo, od ciemnej, zagrzybiałej piwnicy aż do zakurzonego strychu. Pozornie niewinnie wyglądające budynki i miejsca potrafiły kryć niejedną nieprzyjemną niespodziankę. Ten dom skrywał jednak zdecydowanie przyjemniejszą – w piwnicy odnalazła zapomniane słoiki konfitur i trochę domowego wina. Kiedy już otoczyła domek podstawowym zaklęciem ochronnym, wypita pół bu-

telki wina porzeczkowego, a następnie, wyczerpana podróżą, używaniem magii i alkoholem, padła na wiekowe, zakurzone łóżko.

Obudziła się następnego ranka w paskudnym humorze. Była zmarznięta i zdrętwiała. Żałowała, że Kaśka nie utopiła się w kałuży na środku miasta. Albo nie złamała karku, spadając ze schodów. Ewentualnie nie została trafiona cegłą w głowę.

Nie podobał się jej Czarny Jar, ten dom i cała ta sprawa. Irytowało ją skrzypiące łóżko i ubity materac, przeszkadzał brak ogrzewania. Z żalem myślała o sabacie na Łysej Górze, poczęstunku, jakiego z pewnością nie żałowano gościom, tańcach, muzyce i skandalach, bez których nie mogło się obyć, jeśli więcej niż trzy czarownice przybyły w to samo miejsce.

Wygrzebany z torby baton, który razem z dżemem agrestowym miał pełnić funkcję śniadania, też raczej nie poprawił jej nastroju. Uwielbiała słodocze, ale wołałaby zjeść coś konkretniejszego. Jajecznicę z szynką. Albo zapiekanki, pyszne, chrupiące zapiekanki na bagietce, z pieczarkami, podwójną warstwą sera i keczupem...

Usiadła na zapadniętym stopniu, ponura jak chmura gradowa. Gdyby przebywała na zamku, kucharka zrobiłaby jej tę przekłętą jajecznicę. Do tego podała by kakao i pyszne, maślane rogaliki. Gdyby Sara nie miała ochoty siedzieć na książęcym dworze, mogłaby kupić sobie zapiekanki w budce niedaleko bloku, potem zamówić pizzę lub chińszczyznę... Czarownica katowała się takimi myślami jakieś dwadzieścia mi-

nut, przeżuwać batonik i wpatrując się w zaniedbany ogród. Jeszcze przed kilkoma laty podwórko musiało być przedmiotem czyjejś troski. Wzdłuż ścieżki prowadzącej do furtki wciąż leżały białe kamienie, choć między nimi powyrastały już żdźbła trawy. Nie zmarniały także krzaki róż, które zaczynały powoli pokrywać się liśćmi.

Wspomniała inny ogród, z pewnością martwy od lat, w którym dawno, dawno temu sama sadziła zioła i pielęgnowała róże. Przypomniała sobie, że tamten dom też był drewniany i miał równie spadzisty, śmieszny dach.

Wzdrygnęła się i odgoniła natrętne wspomnienia. Wiele wody upłynęło w Vistuli, odkąd mieszkała w domku otoczonym kwiatami. Człowiek szybko przyzwyczaja się do wygod, uznała ponuro, mnąc w rękę opakowanie po batoniku. Dwa dni z dala od cywilizacji i zaczyna wariować.

Wróciła do środka. Przed lustrem, przez które biegło długie pęknięcie, umalowała się, nie szczędząc czarnego tuszu i fioletowych cieni. Rzadko używane kosmetyki postarzały odrobinę dziecinną twarz Sary, nadając jej drapieżnego wyrazu. Chciała zwracać na siebie uwagę, wyróżniać się w tej dziurze. Szokowanie, szantaż i groźby karalne to były jej metody. Czarownica mimowolnie uśmiechnęła się do swojego odbicia. W przyciemnionym świetle korytarza jej niepomalowane usta zdawały się być czerwone jak krew.

Gdy na niebie pojawiło się słońce, a temperatura wzrosła, Czarny Jar stał się na swój sposób urokliwy.

Większość domków wyglądała niemal identycznie: klockowate, parterowe, z połaciowymi oknami w pochyłych, czerwonych dachach. Niektóre z nich starannie pobielono i wymieniono dachy, inne zaś były wyblakłe, straszyły drewnianymi, wiekowymi oknami i zerwanymi dachówkami. W większości ogrodów rosły drzewa, a wytyczone grządki świadczyły o tym, że mieszkańcy nie zaniedbują swoich obejść.

Sara zmarszczyła brwi, podeszła do płotu zbitego z nierównych sztachet i spojrzała na sąsiedni ogródek. Pierwsze rośliny zaczynały wschodzić, krzaki porzeczki pokryły się drobniotkami listkami, jabłoń najwyraźniej miała zakwitnąć za parę dni.

Za wcześnie.

Za wcześnie, ponieważ do wiosny kalendarzowej zostały dwa dni, zaś do prawdziwej – przynajmniej dwa tygodnie. Za wcześnie, bo jeszcze wczoraj padało, a deszcz mieszał się ze śniegiem. Za wcześnie dla miejscowości położonej tak blisko gór. Wyjaśnienie tego fenomenu mogło być tylko jedno: stosowano tutaj magiczne mikstury, te zaś nie były tanie. Nie mógłby sobie na nie pozwolić sobie ktoś mieszkający w niewielkim domku, tam, gdzie diabeł mówił dobranoc. Przyjrzała się ogródkom uważniej i niemal w każdym zaobserwowała podobne objawy: kiełkujące pędy, listki na drzewach. Mglistie pamiętała nawet komary nad rzeką, które nie powinny być aktywne o tej porze roku.

Intrygujące.

Dziarskim krokiem skierowała się do wypatrzonego go poprzedniego dnia niewielkiego, szarego budynku,

z wytartym ze starości szyldem „Sklep spożywczo-monopolowy”. Gdy Sara przekroczyła próg, zadzwoniły dzwonki przymocowane do drzwi. Sprzedawczynią była młoda, najwyżej dwudziestoletnia tleniona blondynka. Najwyraźniej wioska nie należała tylko do nestorów. Szare oczy kobiety otworzyły się szerzej, gdy zobaczyła, kto wszedł do sklepu.

Sara wiedziała, co pomyśla o niej tutejsi. Odziana w czerń, w porwanych spodniach, w skórze, z ostrym makijażem, jaki zwróciłby uwagę nawet w Krakowie, Wilnie, Poznaniu czy Tarenie. Ćpunka. Dziwka. Kryminalistka. Ktoś, kogo należy omijać szerokim łukiem, istota z innego świata, godna najwyższej pogardy.

Sklep był zaskakująco dobrze zaopatrzony. Co prawda na podłodze walał się piasek i drobiny kurzu, a pod sufitem kołysała tania jarzeniówka, wypełniająca pomieszczenie ostrym, nieprzyjemnym światłem, lecz na półkach nie brakowało towarów. Gorzała, piwo, papierosy, sól, cukier, czyli podstawowe produkty, jakich człowiek spodziewałby się w takim miejscu, sąsiadowały ze słodyczami znanych marek, paczkami chipsów i drogimi winami. Z jednej strony ustawiono chemię, zarówno proszki, mydła i płyny do mycia naczyń, jak i kosmetyki, perfumy i kremy, niekoniecznie te najtańsze. Sara wyciągnęła z zamrażalnika swoje ulubione lody w kubeczku, a z półki zdjęła chleb i ser.

Rzuciła produkty na ladę. Gdy sprzedawczyni podliczała ceny, czarownica wydobyła z kieszeni zmięte zdjęcie, z którego patrzyła roześmiana dziewczyna z rozwianymi, bardzo jasnymi włosami. Jedną ręką

odgarniała je z twarzy, a drugą podtrzymywała żółtą sukienkę, szarpaną przez wiatr.

Sara dostała fotografię od Juliana, nietypowo w tym przypadku zakłopotanego i milczącego. Czekał na jakąś złośliwą uwagę, komentarz typowy dla jego nadwornej czarownicy. Nie odezwała się. Wiedziała, że wręcza jej kopię, że oryginał leży w szufladzie pięknego, zabytkowego biurka, ustawionego w królewskiej sypialni, oprawiony w prostą, drewnianą ramkę. I że jest często wyjmowany. Nie byłaby dobrą Pierwszą Czarownicą Polanii, gdyby nie wiedziała, co jej zwierzchnik chowa w zakamarkach prywatnych apartamentów. I co robi, gdy myśli, że jest sam.

– Widziałas ją? – spytała. Sprzedawczyni zamarła z palcem na kalkulatorze i rzuciła Sarze spłoszone spojrzenie. Pokręciła głową, nawet nie patrząc na zdjęcie.

– Zdumiewająca umiejętność: wiesz, że kogoś nie widziałas, jeszcze nie wiedząc, o kogo chodzi? – zdziwiła się nieszczerze Sara. Uniosła fotografię, podtykając ją dziewczynie pod nos z taką szybkością, że ta cofnęła się odruchowo i omal nie upadła. – Odpowiadaj, najlepiej pełnym zdaniem. Chyba nie zatrudniliby niemowy do pracy w sklepie?

– Pani jest niegrzeczna – powiedziała sprzedawczyni, a czerwień jej policzków przebiła się przez grubą warstwę pudru. – Niech pani stąd wyjdzie, weźmie swoje zakupy i idzie!

Skarbie, ja jeszcze nawet nie zaczęłam być niegrzeczna – pomyślała Sara z rozbawieniem. Bez py-

tania zgarnęła z lady reklamówkę, wrzuciła do środka zakupy, w zamian rzucając na blat banknot.

– Patyczek – zażądała, otwierając opakowanie z lodami. – Nie patrz tak na mnie, bo oczy ci wypłyną, dziewczynko. Widziałaś tę kobietę czy nie?

– Nie – burknęła dziewczyna, odwracając się do Sary plecami, by wyciągnąć patyczek. – Już policja pytała. Nie znam jej.

Czarownica chwyciła dłoń sprzedawczyni. Pulchną, szorstką dłoń kogoś, kto przywykł do pracy w ogrodzie, szorowania podłóg i niszczenia skóry detergentami podczas mycia naczyń. Tak inną od rąk Sary, gładkich, o równo obciętych paznokciach. Tylko prawa była od wewnętrznej strony pokryta odciskami.

– Nie znasz – powtórzyła Sara, przechylając się przez ladę, by spojrzeć w małe, szare oczy. – A widziałaś ją?

– Nie! – krzyknęła kobieta, wyrывая się z uścisku. – Poszła stąd!

I poszła, chwyciwszy wcześniej leżący na ladzie patyczek. Tropy same pchały się w jej ramiona. Przy odrobinie szczęścia będzie z tym nawet mniej pracy niż z ustaleniem, kto rok temu w kwietniu wypalał trawy pod Krakowem, w wyniku czego spłonęło kilkanaście hektarów lasu i parę zabudowań. Skrzywiła się mimowolnie na wspomnienie tamtego zadania, które uważała za uwłaczające swoim możliwościom.

Czarny Jar budził się do życia. Sara, idąc przez wieś, kilkakrotnie wyczuła na sobie spojrzenia, rzucane zza firanek i płotów. Ze zdumieniem stwierdziła, że wcale

nie byli to – jak się spodziewała – tylko staruszkowie. Przez dziury w sztachetach przyglądali się jej dwaj mali chłopcy, a skryta za firanką, wiotka postać musiała należeć do młodej kobiety. Z niewielkiego okna w dachu spoglądał za nią nastolatek.

– Ene due rabe, bocian połknął żabę – wymamrotała początek starej wyliczanki. – Ogniowi chcieli oddać wiedźmę, więc twoją duszę za to wezmę. Raz, dwa, trzy, dziś przegrywasz ty.

Nie wyczuwała magii. Ani odrobiny. A jednak było w Czarnym Jarze coś dziwnego, coś, co wywoływało mrowienie pod skórą, jakby ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem. Może zza którejś z białych franek spoglądał za nią morderca Kaśki? Sara oblizwała patyczek i starannie wybrała z dna kubelka resztkę lodów malinowych. Wieść o dziwnej dziewczynie szukającej informacji o Kaśce szybko obiegnie wioskę. Gdyby te półgłówki nie ogłosiły zaginięcia, gdyby nie przysłano tutaj policji, może zabójca sam przyszedłby do Sary. Teraz jednak nikt nie odważy się tknąć kolejnej obcej, dając jednocześnie władzom dowód, że zbrodni dokonano tutaj.

– Siedzi w wieży królowna, zamknęła ją wiedźma... – kontynuowała szeptem. Zmiażdżyła kubeczek w ręce, a potem rozluźniła palce i pozwoliła, by porwał go ze sobą wiatr, zbyt nagły i silny, by mógł być dziełem natury. Gdy odezwała się znowu, jej głos uległ zmianie, a przez pokrytą kosmetykami twarz przebiegł skurcz bólu. – Spalić wiedźmę... spalić wiedźmę...

Ene. Due. Rabe.

* * *

Kiedyś Sara próbowała zapewnić sobie spokojny sen.

Wielu mieszkańców Krakowa i okolic, zwłaszcza tych biedniejszych, trzymało przy łózkach siatki, wykradające ich senne majaki, choć na dłuższą metę prowadziło to do psychicznego wyczerpania, a nawet do szaleństwa. Lecz te piękniejsze lub ciekawsze sny mogli sprzedać za dobrą cenę w punktach skupu, skąd, specjalnie przefiltrowane i umieszczone w kolorowych flakonikach, trafiały na sklepowe półki.

W grudniu, gdy noce były długie i ciemne, a sińce pod jej oczami wyraźniejsze, Sara kupiła sen w niebieskiej, malutkiej buteleczce i wieczorem wypiła gęsty, błękitny płyn, pachnący polnymi kwiatami. Śniła o niebie, równie niebieskim jak szkło, z którego wykonano flakonik, o leniwie kołyszającym się w ogrodzie hamaku. Ktoś, kogo w tym śnie kochała, był tuż obok.

Gdy otworzyła oczy i usiadła na łożu z baldachimem, w jednej z najwspanialszych sypialni zamku władców Polanii, płakała po raz pierwszy i ostatni w życiu. Nigdy więcej tego nie próbowała, wołała pozostać przy własnych koszmarach, chaotycznych wytworach umysłu, zlepkach wspomnień i dzieciennych strachów.

Drugiej nocy w Czarnym Jarze śniła o ogniu. To był często powtarzający się koszmar. Śniła o Katarzynie ze spaloną twarzą. I o dziewczynce zjadającej zatrue-

te jabłko. O grobie. O trumnie z cienkiego, zakłętego lodu. O śniegu. Za późno. Za późno o życie.

Była trzecia nad ranem, kiedy czarownica obudziła się, ubrała i wyszła na zewnątrz. Za późno, śpiewał wiatr. Spóźniłaś się, spóźniłaś.

– Nie szkodzi – wymruczała Sara, idąc w stronę lasu. – Wcale nie chciałam jej ratować. Czarownice się nie spóźniają. To inni przychodzą za wcześnie.

Nie wyczuła jednak niczego nowego, stojąc na moście. Nadal to samo echo, pozostałe po cierpieniu i śmierci, które utrzyma się tu jeszcze przez kilkanaście dni. Na darmo zerwała się z łóżka, zwiedziona kolejnym koszmarem. Zrezygnowana, oparła łokcie o barierkę i wpatrzyła się w wodę, płynącą ku Vistuli. Oba brzegi rzeki były strome, gęsto porośnięte krzakami, tak, że nie dałoby się iść tuż nad wodą. Sara, kierując się impulsem, przesadziła poręcz, skacząc prosto w nurt. Przez chwilę mogłoby się zdawać, że wpadnie do spienionej wody, lecz zawisła parę milimetrów nad jej powierzchnią.

Musiała przedstawiać sobą dziwny widok, gdy niemal spacerowała po wodzie, ubrana w dżinsy i wystającą spod skórzanej kurtki piżamę z Kaczorem Donaldem. Puls Sary przyspieszył, powietrze zawirowało wokół, a nieposłuszna i kapryśna magia czarownic budziła się wewnątrz niej. Wiele rzeczy mogło zwiększyć moc czarownicy: silne emocje, szczególne miejsca, nawet pora dnia. Pijana mocą Sara omal nie przeoczyła głębszego cienia wśród przybrzeżnych krzewów.

Zbliżyła się do tych żalosnych szczątków, będących kiedyś żywą istotą. Płomienie pochłonięły ciało niemal w całości, zostawiając zwęglony kawał mięsa, uniemożliwiający identyfikację.

Sara wzleciała wyżej, zawisała nad rzeką, ponad koronami drzew – ciemna postać na tle zachmurzonego nieba. Zawirowała, wykorzystując ten niespodziewany przypływ energii, poszukując śladów śmierci, tym razem na znacznie większym obszarze. I znalazła je. Oblepiły jej umysł jak smoła, gęsta, ciemna i cuchnąca. Nagle zakrztusiła się i opadła w dół, odcięta od magii. Resztkę mocy wykorzystwała, by nie spaść jak ptak strącony z nieba. Wylądowała niezgrabnie, potoczyła się po trawie, objając biodro i uderzając głową o jakiś kamień. Ledwo to wszystko zarejestrowała, wciąż skupiona na emocjach, nienależących do niej. Wszystko zaczęło się mieszać. Ogień. Strach. Śmierć. Spalić wiedźmę. Duszący dym. Nie będę krzyczeć. Niebo jest błękitne i czyste, ptaki tak pięknie śpiewają. Nie będę krzyczeć. Dym wżera się w oczy, wypełnia płuca. Ciemność litościwie zapada i pochłania ją, nim zdążą zrobić to płomienie.

– Sara – szepnęła, zwijając się w kłębek, miotana torsjami. – Sara Weronika Sokolska, Sanika, Pierwsza Czarownica Polanii. Jestem Sara. Nie ja tam umarłam. Nie ja spłonęłam wtedy. I nie teraz. Spróbowała na nowo odbudować swoją tożsamość, oddzielić się od tego wspomnienia i od tego, co pozostało po ludziach, spalonych w Czarnym Jarze.

Urodziłam się w Szczecinie. Trzydzieści trzy lata temu. Nazwano mnie Weroniką. Miałam matkę, ojca,

starszego brata, a potem jeszcze młodszą siostrę. Jestem i zawsze byłam czarownicą. Jestem Sarą.

Jestem sobą.

Żyję.

Mrok owinał się wokół niej jak płaszcz.

* * *

– Proszę pani? Pani żyje?

– Skąd, wyłazłam z grobu... – wymamrotała Sara, odpychając rękę szarpiącą ją za ramię. Wisielcze poczucie humoru wróciło jako pierwsze, jeszcze gdy pozostawała na wpół przytomna, nie do końca świadoma, co właściwie robi w środku lasu, leżąc na trawie mokrej od rosy. – Aaa... spadłam.

– Pani uderzyła się w głowę – oznajmiła kucająca obok jasnowłosa dziewczyna. Na ładnej, drobniutkiej twarzy malowało się zmartwienie. – Pani powinna iść do szpitala.

Czarownica obmacała potylicę. Faktycznie, włosy z tyłu zlepiała krew, jednak rana zdążyła się już zasklepić.

Wiedziała jednak, że pod sufitem na pewno nie ma równo. Wyrzucała sobie własną głupotę. Upojona przypływem mocy, zapomniała o rozsądku, otworzyła się zupełnie, znosząc wszystkie bariery. Mogła stracić przytomność, wpaść do rzeki i podzielić los Pięknej Kaśki.

– Obca – skomentował ktoś. Sara uniosła wzrok. Trochę dalej stała kobieta. Nie, nie kobieta, dziewczyna

na, może jeszcze nastolatka: to strój i gruba warstwa makijażu tak ją postarzały. Krótka spódniczka, siateczkowe rajstopy, bluzeczka z dekoltem i czarny płaszcz, rozpięty pomimo chłodu, zapewne by rzeczony dekolt eksponować.

– Obca – potwierdziła Sara. – I co? Spalicie mnie za to na stosie?

Uważnie obserwowała reakcje dziewcząt. Jasnowłosa wciąż przypatrywała się jej z taką samą troską – typ delikatnej panienki, rozczulającej się nad ptaszkami wypadającymi z gniazd. Druga, ciemnowłosa, z szyderczym uśmiechem wyciągnęła z kieszeni papierosy. Typ, który ptaszka przydepcze, żeby biedaczek za długo się nie męczył.

– Rzadko ktoś tutaj przyjeżdża – pospieszyła z wyjaśnieniem blondynka. – Ona nie miała nic złego na myśli. Jestem Sylwia. A to Marzena. Pani potrzebuje pomocy?

– Nie – odpowiedziała, choć bolała ją głowa i biodro, a do tego zdrętwiała z zimna i po prostu czuła się paskudnie, jakby całą noc imprezowała ze studentami.

– Pani dojdzie sama do wsi? – upewniła się Sylwia.

– Pani dojdzie do wsi – potwierdziła Sara, przewracając oczyma. Podniosła się, otrzepała spodnie. Gdy odchodziła, Marzena obrzuciła ją drwiącym spojrzeniem, dłużej zatrzymując wzrok na piżamie, wystającej spod kurtki. Zaciągnęła się papierosem, wypuściła z mocno umalowanych ust smużkę dymu.

Za późno, szeptało coś tej nocy. Za późno o życie.

O kilka żyć.